

Zwyciężyć znaczy przeżyć

20 lat później



Komentarz autora
do raportu PZA



Aleksander Lwow

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce. Autor oraz Wydawnictwo HELION dziękują autorom zdjęć za ich udostępnienie i zgodę na publikację.

Redaktor prowadzący: Ewelina Burska
Projekt okładki: ULABUKA
Projekt graficzny: Kazimirdo Studio
Fotografia na str. 2: Piotr Bittner 2012

Wydawnictwo HELION
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
Telefony: +48 32 231 22 19, +48 32 230 98 63
e-mail: redakcja@bezdroza.pl
WWW: <http://bezdroza.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:
<http://bezdroza.pl/user/ opinie/bezwyc>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzje.
Adresy korespondencyjne Autora:

Aleksander Lwow, GiA, skr. pocztowa 1030, 50-950 Wrocław 68
E-mail: gia@alpinizm.pl
Facebook: www.facebook/góry_i_alpinizm_-_miesięcznik_ludzi_gór
Telefon: +48 669 962 964

ISBN: 978-83-246-8278-2

Copyright © Aleksander Lwow 2014

Printed in Poland

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

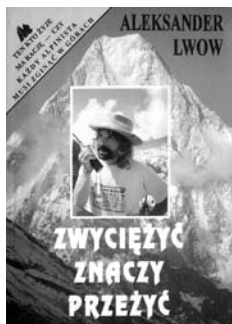
Wróciłem do książki napisanej blisko 20 lat temu z kilku powodów, ale najważniejszym ze wszystkich jest ten, że po ukazaniu się pierwszego i drugiego jej wydania otrzymałem od czytelników – osób zupełnie mi nieznanych – kilkaset sympatycznych lub wręcz uroczych listów i e-maili z... podziękowaniami za „Zwyciężyć znaczy przeżyć”. Było to nadzwyczaj miłe, a miałem świadomość, że w takich przypadkach liczba tych, którzy napisali, w stosunku do tych, którzy chcieliby napisać, ale nie uczynili tego z różnych przyczyn – jest zawsze niewielka.

Na przestrzeni lat usłyszałem wiele ciepłych słów o tej książce od obcych ludzi przypadkowo spotykanych w górach i na ulicy. Zrozumiałem wtedy, że moja „męka twórcza” nie poszła na marne i że warto było trudzić się przez miesiące układaniem zdań na papierze i ekranie komputera. Przy okazji dowiadywałem się – nie bez zdumienia – jak wiele, jak wielu ludziom książka ta... wyjaśniła.

Nie zapominajcie, proszę, że jest to opowieść o dawno minionym czasie i – jakże często – o ludziach, których już dawno (albo od niedawna) między nami nie ma. Pisząc ją teraz po raz kolejny i w dużej mierze na nowo, nie mogłem chwilami uwierzyć, że to czy tamto zdarzyło się 10, 20 a czasem nawet... 40 lat temu! Przecież „ludzie tak długo nie żyją”! A jednak...

Dzięki takim książkom jak ta, te osoby – dla wielu z nas koleżanki lub koledzy, znajomi, partnerzy od liny i od kielicha, przyjaciele i bliscy – wciąż... żyją w naszych wspomnieniach, a czasem nawet i w sercach.

Aleksander Lwow
Konradów, październik 2013 roku



W 2013 roku, po tragedii **Maćka Berbeki** i **Tomka Kowalskiego** na Broad Peak, a później po śmierci **Artura Hajzera** na Gasherbrumie I, tytuł tej mojej książki – „Zwyciężyć znaczy przeżyć” – nabrał szczególnego wydźwięku i znaczenia. Nigdy wcześniej nie przyszłoby mi do głowy, że coś takiego jak dramat na BP, dokładnie 25 lat po naszej tam z **Maciejem** próbie, w ogóle może się zdarzyć. W tym niemal już przysłowiowym, wielokrotnie cytowanym przy różnych okazjach zdaniu o zwyciężaniu i przeżywaniu zawarta jest pewna metafora, a słów tych nie należy interpretować dosłownie.

Z lapidarnymi, skondensowanymi myślami-skrótami zawsze jest problem. Na przykład każdy przecież doskonale rozumie powiedzenie, że *lepiej być pięknym, młodym, zdrowym i bogatym niż odwrotnie*, a jednak użyte przeze mnie w wywiadzie udzielonym NEWSWEEKOWI już po śmierci **Berbeki** i wyeksponowane przez dziennikarza w tytule artykułu stwierdzenie, że gdyby mieć wybór, to *lepiej być Lwowem żywym niż Kukuczką umarłym*, wywołało – inspirowaną zresztą przez **Hajzera** – krótkotrwałą, wcale mi nie życzliwą burzę na forach internetowych. Widać było, że ludzie czytają bez zrozumienia tekstu, że nie każdy w ogóle rozumie, o czym mówię i co mam na myśli, i że literalne odczytywanie tego typu zdania powoduje zagubienie jego sensu.

Ogólnonarodowa dyskusja o zdarzeniach na Broad Peak przynosiła skrajne chwilami opinie. Niektórzy, zwłaszcza w środowisku zakopiańskim, doszukiwali się tam bohaterstwa i poświęcenia tych, co zginęli, skonfrontowanego z brakiem solidarności i ucieczką z miejsca tragedii tych, co przeżyli. Niepotrzebnie i najwyraźniej niezgodnie z rzeczywistością. **Maciej** był na tyle wielkim i doświadczonym alpinistą, że nie było potrzeby dobudowywania mu legendy związanej z rzekomo bohaterskim odwrotem z Broad Peak. Co dokładnie tam na górze się działo, tego nie wiemy i pewnie już nigdy się dowiemy. **Berbeka** należał, należy i będzie należeć do absolutnej *szpicy* polskiego i światowego himalaizmu. I to już w zupełności wystarczy dla dobrej o nim pamięci. Nie trzeba było dodawać do tego zwrotów, które pojawiały się w tabloidach, że np. wrócił, by ratować partnera, i z tego powodu zginął.

Śledziłem losy wyprawy w mediach od piątej rano feralnego dnia. Od pierwszej chwili gdy pojawiły się wiadomości o problemach z zejściem, wiedziałem, że rozgrywa się dramat. Rozumiałem to i czułem – w końcu ja tam kiedyś byłem, nawet w znacznie gorszych warunkach. Ale cały czas ufałem, że doświadczenie **Macieja** pozwoli mu pomału, bo pomału, ale jednak zejść. Tak jak to było 25 lat wcześniej, kiedy powrót do namiotu zajął mu 24 godziny. Później każda chwila przynosiła coraz gorsze informacje i w pewnym momencie zrozumiałem, że tym razem struna została przeciągnięta.

Ta tragedia stała się zaczynem dyskusji o całym projekcie PHZ (Polski Himalaizm Zimowy), a tu kontrowersji rysowało się wiele. Być może

wynikało to z naszej narodowej cechy, która trwale dzieli Polaków na co najmniej dwa obozy całkowicie odmiennie postrzegające rzeczywistość. To widać było zawsze gołym okiem w polityce i prawdopodobnie przeniosło się także na inne dziedziny życia, w tym na alpinizm. Niestety, w dyskusjach internetowych najchętniej i najliczniej brali udział ludzie mający słabe pojęcie o himalaizmie albo nieumiejący czytać tekstów ze zrozumieniem, natomiast ci, którzy mogliby coś wartościowego do dyskusji wnieść, znali temat i mieliby ewentualnie jakąś ciekawą opinię, nie zabierali głosu – zazwyczaj z obawy, że zostaną obrzuceni błotem.

Zimowy himalaizm u nas rozwinął się tak pięknie dlatego, że my, Polacy, zaczęliśmy jeździć w góry najwyższe w momencie, gdy wszystkie ośmiotysięczniki były już zdobyte. Żeby dokonać czegoś więcej w sensie sportowym, tacy ludzie jak **Andrzej Zawada** – a w istocie głównie on – rzucili myśl, że skoro nie zdążyliśmy zdobyć dziewięciu ośmiotysięczników latem, to mamy szansę jeszcze się wykazać i dokonać czegoś wielkiego, zdobywając je zimą. To się zaczęło na początku lat 70., a pierwszym krokiem ku zimowym Himalajom było zdobycie przez **Zawadę** i **Tadeusza Piotrowskiego** Noszaka w zimie 1973/74 roku. Kolejny krok to przedłużenie na okres zimowy wyprawy jesiennej na Lhotse w 1974 roku, tej, podczas której zginął operator filmowy **Staszek Latałło**. A później już było zdobywanie zimą Everestu, K2 i tak dalej, i tak dalej. Jak widać, ta idea się sprawdziła, bo Polacy całkowicie zdominowali zimowe zdobywanie Himalajów, zawłaszczając dla siebie aż dziesięć spośród wszystkich dwunastu dokonanych pierwszych wejść zimowych na ośmiotysięczniki.

W tamtym czasie miałem dwadzieścia kilka lat i wielkie sportowe ambicje. Oczywiście, można by naszej zimowej aktywności przypisywać różne górnolotne motywacje i znaczenia typu „wyprawa narodowa”, **Edward Gierek**, papież **Jan Paweł II**, my, Polacy etc., ale przecież w rzeczywistości jeździliśmy wtedy w te góry po to, żeby dokonać sportowego wyczynu i tyle. A że odbijało się to potem szerokim echem w „komunistycznych” gazetach i „reżymowym” Dzienniku TV, to był tylko efekt uboczny – my w ogóle tego tak „politycznie” nie postrzegaliśmy. Sukces potrzebny był i ówczesnej władzy, i społeczeństwu, i nam samym. Rzeczywistość i realia były takie, jakie były, i nikomu do głowy nawet by nie przyszło, że może być inaczej. W latach 80. nie było „wolnych” ani prywatnych mediów i przede wszystkim nie było mediów elektronicznych, w których współcześnie wszelkie górskie wydarzenia dzieją się na oczach widzów, *online*.

W himalaizmie sportowym aktywność zimowa jest jego najważniejszą składową. PHZ powstał między innymi po to, by wypełnić lukę pokoleniową, jaka w polskim środowisku alpinistycznym pojawiła się po „złoty” latach 80. Wprawdzie chętnych do wyjazdów w góry najwyższe, zwłaszcza



Artur Hajzer w Szczyrku
Fot. autora, marzec 2013.

sponsorowanych, zawsze było wielu, ale w pewnym okresie zabrakło w Polsce ludzi, którzy byli do tego predestynowani odpowiednim doświadczeniem alpinistycznym. Przyszedł taki moment, kiedy po pierwsze bardzo wielu wybitnych wspinaczy zginęło w górach, po drugie wielu wybitnych alpinistów się zestarzało, a po trzecie wreszcie, razem z transformacją zmieniły się realia ekonomiczno-społeczne w naszym kraju. Nagle oto młodzi ludzie przestali potrzebować alpinizmu do tego, by kanalizować swą aktywność, żeby w ogóle gdzieś wyjeżdżać. Mogli sobie jechać, gdzie chcieli i kiedy chcieli – paszporty mieli w kieszeni. Mogli rozkręcać biznesy i zarabiać pieniądze, mogli podróżować. Wszystko to razem spowodowało, że powstała owa pokoleniowa luka. Tymczasem ktoś, kto nie przeszedł wieloletniego cyklu „nauki” gór – przez skałki, Tatry, potem Tatry zimą, Alpy, Alpy zimą, Pamir, Hindukusz etc. – może mieć problemy z odnalezieniem się w trudnych i bardzo wysokich górach. I jeszcze jedno: napisałem kiedyś, że *himalaizm zimowy to sztuka bezsensownego cierpienia*. Obecnie, w XXI wieku, mało który alpinista ma ochotę cierpieć!

Jako pierwszy o odbudowę zimowej kadry himalajskiej zaapelował **Krzysztof Wielicki**, a potem próbował kontynuować to **Artur Hajzer** z pomocą PHZ. Oczywiście, takie apele i projekty były potrzebne. Zasadniczo nie miałem nic przeciwko idei Polskiego Himalaizmu Zimowego, choć niektórzy sądzili, że byłem jej przeciwny. Nieprawda! Uważałem jednak, że można by to robić inaczej, gdyż działalność niektórych wypraw PHZ nie miała cech sportowych. Tak oceniałem np. ekspedycję na Dhaulagiri w 2013 roku (wyprawa pod kierunkiem **Jerzego Natkańskiego**), na który pojechało kilkoro doświadczonych himalaistów zbierających sobie szczyty „8000” do prywatnych „kolekcji” i zaledwie trzech „młodych”, czyli że zachwiane zostały właściwe proporcje w składzie. W dodatku pojechali na drogę „normalną”, obchodzoną i wydeptaną, ale za to na lewo i na prawo podkreślając, że nie będą używać tlenu. A przecież byłoby czystym *obciachem*, gdyby po tylu latach i sukcesach naszego himalaizmu mieli go wtedy używać. Korzystanie z tlenu, z pomocy Szerpów czy robienie wyprawy w stylu obłężniczym już od dawna traktowane było jako zachowanie niesportowe, zwłaszcza na górze, która w poprzednich dekadach była świadkiem znakomitych dokonań Polaków – **Kurtyki, Wielickiego, Czoka, Kukuczki, Wilczyńskiego...** Ponadto, po sporej już wówczas liczbie wcześniejszych innych wypraw PHZ zaczęto w środowisku formułować oceny, a te nie mogły być najlepsze – wydarzyło się zbyt wiele złego... Coś było nie tak. Ciężkie odmrozenia dwóch wspinaczy podczas jesiennej wyprawy na Makalu w 2011 roku, gdzie w ogóle omal nie doszło do tragedii. Potem jakieś „dziwne” nocne ataki na szczyt Lhotse i śmierć Szerpy na wyprawie w 2012 roku. Zupełna porażka na Manaslu w maju 2012 roku, choć w tym samym czasie inne nacje zdobyły szczyt.

Sporo lat mieszkałem w śmierdzącym zsypanym na śmiecie bloku „mrowkowcu”: jedenaście poziomów, dziesięć klatek schodowych, trzy mieszkania na piętrze. Z sąsiadami (poza najbliższymi) prawie nie rozmawiałem, nie wiedziałem, kto gdzie mieszka i – tym bardziej – jak się nazywa. Była to najzupełniej świadoma, celowo pielęgnowana samotność w tłumie. Sądziłem naiwnie, iż relacja ta jest zwrotna.

Kiedyś zaczął mi przeciekać kaloryfer. Z ADM przyszedł pan majster i milcząco robił swoje. Ożywił się tylko na moment:

– Najlepsza podkładka – powiedział, wyciągając ku mnie dwudziestogroszówkę, i dodał: – Co jakiś czas znajoma w banku wymienia mi ich cały woreczek.

Więcej się już nie odezwał. Włożył monetę pod muterkę, dokręcił, zebrał narzędzia i ruszył do wyjścia. Przed drzwiami zatrzymał się nagle, odwrócił na pięcie i bez wstępu wypalił:

– No to niech pan powie, jak tam jest w tych górach!

Zaskoczył mnie zupełnie. Z wrażenia zaniemówiłem. Skądś wiedział, że jestem „znany” alpinistą.

Książka, którą trzymacie w rękach, powstała na takiej właśnie zasadzie: niech pan powie, jak tam w tych górach.

Więc siedliśmy sobie z zimnym piwem w garści i ja Wam opowiadam. Pozornie chaotycznie, ale próbując zachować jakąś tam chronologię, przeskakując z tematu na temat w pogoni za umykającymi myślami i skojarzeniami.

To nie jest książka o *tojeniu* ani o żadnej jednej konkretnej wyprawie. Mało się w niej wspinam, prawie nie „szukam chwytów”, rzadko „stoję na obłych stopieńkach” i tylko czasem „zasypują mnie pyłówki”.

Staram się nie zakładać baz, obozów ani nie rozwieszać poręczówek, choć niezupełnie mi się to udaje. Książki alpinistyczne aż roją się od takich tasiemcowych opisów, a ja w dodatku mało co z moich wspinaczek pamiętam. Wystarczy, że (na szczęście!) mam obszerne notatki.

Piszę o tym, co na przestrzeni z górą czterdziestu lat mojego alpinistycznego życia utkwilo mi w pamięci na zawsze. Dlatego jest w niej tak wiele o ludziach i przemijaniu. A że nie są to wyłącznie epizody, myśli czy uwagi ściśle związane z górami? Cóż, góry płaczą się z życiem, życie z miłością, miłość ze śmiercią, śmierć z polityką, a polityka z górami. Albo wszystko ze wszystkim. Mandala? Koło? Zaklęty krąg? A może chaos?

To chyba nie jest również książka dla alpinistów, gdyż wszystko, o czym piszę, może im się wydać znane, trywialne lub oczywiste, a z tego powodu po prostu nudne. Napisałem ją z myślą o wszystkich tych, z którymi spotykałem się na przestrzeni lat, podczas dziesiątek spotkań „z żywym alpinistą”. Wciąż dźwięczy mi w uszach ich natarczywe:



Blok „mrówkowiec”
na wrocławskim
osiedlu Popowice
Fot. autora, 1981

– Niech pan powie...

Ci ludzie nigdy nie byli i nigdy nie będą alpinistami, ba! – większość z nich nigdy nie była w górach wyższych niż Karkonosze i nigdy nie spędziła nocy pod gwiazdami. A jednak ekscytują się alpinizmem, podziwiają himalaistów i na swój sposób szczerze kochają góry. I chcą wiedzieć wszystko na ten temat – jak wygląda wierzchołek i jak się sika na mrozie, jak można wbić hak w skałę, choć taka twarda, i jak wysoko można jeszcze kochać się z kobietą. Po prostu wszystko.

W zasadzie, z pewnego (alpinistycznego?) punktu widzenia, może wydawać się mało ważne to, co robiłem w dzieciństwie, do jakich szkół chodziłem, co myślałem o tym i owym, kto to był X i kim była Y, skoro na Kazalnicy nie zdążyli niczego *wkosić*, a nawet wszystko to, co poza wspinaniem wyprawialiśmy w Morskim Oku i w górach. Sądzę jednak, że na pewien sposób

właśnie to jest ważne. Ważniejsze niż ponure *lojenie*.

Drogi, ściany i szczyty – im jest ich więcej, tym bardziej się zacierają we wspomnieniach, nakładają na siebie. Chwyty, stopnie, zacięcia, kominy, przewieszki – OK, ale gdzie, na jakiej drodze, kiedy? Prawie nie pamiętam.

Nie mylą mi się tylko twarze.

Twarze ludzi, z którymi się wspinałem, z którymi harowałem w górach i schroniskach, lub choćby w tychże górach i schroniskach spotykałem się, a którzy tym różnią się ode mnie, że albo już w górach zostali na zawsze, bo mieli mniej szczęścia niż ja, albo z różnych, najbardziej prozaicznych przyczyn (choroba, wypadek, samobójstwo) przedwcześnie odeszli z tego świata.

Te twarze na zawsze zakodowały się w mojej pamięci jednym z obrazów z przeszłości. Jakąś facecją, *jajem*, czynem heroicznym lub tchórzliwym, górskim sukcesem albo porażką – obojętne czym. I choć pozornie opisuję siebie, choć to ja opowiadam, widząc wszystko moimi oczyma i przez pryzmat moich własnych wspomnień, to jest to książka o nich.

Dla nich...

Tkwilem w centrum huk, wciśnięty w ciasną przestrzeń zawartą pomiędzy łopoczącymi ścianami, otoczony nieprzeniknioną ciemnością. To było „zaledwie” 7300 metrów, w normalnych warunkach prawie nic. Pozbawiony radiotelefonu, praktycznie odcięty od świata, wiedziałem, że gdzieś w dole znajduje się baza pełna ciepła, kolegów i jedzenia, ale chwilami zdawało mi się,

że jestem jedynym – ostatnim jeszcze żywym – człowiekiem we wszechświecie i w dodatku nie na Ziemi, lecz na... Marsie; gdzież by indziej mogło panować takie piekło?

Maciek nie powrócił do namiotu ani wieczorem, ani w nocy. Przez cały następny dzień zamieć nie słabła. W chwilach kiedy pod naporem huraganu część namiotu unosiła się w górę, byłem przekonany, że oto lada moment wiatr porwie mnie razem z moim wątlym schronieniem, uniesie jak balon i rzuci w przepaść. Coś takiego zdarzało mi się po raz pierwszy w życiu, po raz pierwszy w blisko dwudziestoletniej karierze alpinisty. Przez długi czas, bezsilny i obojętnie przerażony (jeśli to w ogóle możliwe), przytrzymywałem stelaż rękami, obciążając go całym ciężarem ciała i – jak tylko się da – przyciskając do podłoża.

Nigdy wcześniej nie sądziłem, że istnieje uczucie, które można by nazwać „obojętnym przerażeniem” – w końcu skrajny strach czuje się całym ciałem, a zwłaszcza jego wnętrzem, trzewiami – tu jednak doświadczałem czegoś zupełnie nowego: sytuacja zdawała się być niemal bez wyjścia, żywioł otaczał namiot, w którym tkwiłem, a ja? – ja mogłem tylko czekać i mieć nadzieję, że wiatr nie oderwie mnie od zbocza, że pogoda wkrótce się poprawi, a **Maciej** ostatecznie szczęśliwie wróci z góry.

Dopóki obojętne przerażenie nie zamienia się w obojętną rezygnację, nie jest najgorzej. I tak miałem bez porównania lepiej niż **Berbecka**, który jeśli w ogóle jeszcze żył, to przecież był w samym centrum lodowatego piekła. Namiot, choć szarpany i podrywany przez wicher, był jednak przyszpilony do podłoża potężnymi aluminiowymi szablami śnieżnymi, sam w sobie, mimo pojedynczej ścianki z *goretexu*, miał mocną konstrukcję i dopóki wytrzymały mocujące ucha z taśmy, istniała nadzieja, że nie pofrunie.

Dopóki wytrzymały...

Po południu minęła doba od naszego rozstania pod przełęczą między Broad Peakami. Na zimno i z pełną świadomością zacząłem rozważać warianty ewentualnego samotnego zejścia. Szansę na szczęśliwy powrót **Berbecki** malały z każdą godziną, a ja coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że **Maciek** po prostu zginął. Dziwiłem się sam sobie, z jakim spokojem o tym myślę i jak wiele we mnie obojętności w obliczu tak dramatycznych, czy wręcz tragicznych, wydarzeń.

Podświadomie czułem beznadziejność swego położenia i kruchość szans, jakie mi pozostały, ale nie bałem się – pewnie dlatego, że nie ma strachu w ludziach pozbawionych wyboru. Może z tego właśnie powodu łatwiej umiera się, na przykład, na wojnie?

Byłem zdecydowany czekać na **Maćka** jeszcze do następnego ranka, ale potem – bez względu na wszystko – ratować to, co ewentualnie do uratowania by pozostało. Siebie.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



- 1. ZAREJESTRUJ SIĘ**
- 2. PREZENTUJ KSIĄZKI**
- 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ**

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

Ludzie i góry...

Pierwszą wersję tej książki Aleksander Lwow, jeden z najwybitniejszych polskich himalaistów i alpinistów, napisał dwadzieścia lat temu. Z czasem stała się klasykiem gatunku. Pisał ją nie dla kolegów wspinaczy i alpinistów, pisał dla „miłośników gór” — tych, którzy najpewniej nigdy nie spędzą nocy w namiocie szarpanym przez mroźny wiatr ani nie będą szturmować himalajskich olbrzymów. Pisał dla zwykłych ludzi, którzy kochają góry i podziwiają zdobywających je „wojowników”.

Zwyciężyć znaczy przeżyć... to przede wszystkim książka o ludziach gór. Snując wysokogórską opowieść, Aleksander Lwow do minimum ogranicza opisy karawan, zakładania baz, budowania obozów wysokościowych i rozwieszania poręczówek. Píše o przyjaciółach, znajomych i partnerach, wspomina najślawniejszych alpinistów i himalaistów — często już nieżyjących. Na kartach jego książki ludzie ci ożywają, wspinają się lub bawią. Aktualne wydanie zostało wzbogacone o opisy zdarzeń ze świata ludzi gór z ostatnich dwudziestu lat i komentarze do wielu z nich.

Nie myśl mi się tylko twarze. Twarze ludzi, z którymi się wspinałem, z którymi harcowałem w górach i schroniskach lub choćby w tychże górach i schroniskach się spotykałem, a którzy tym różnią się ode mnie, że albo już w górach zostali na zawsze, bo mieli mniej szczęścia niż ja, albo z różnych, najbardziej prozaicznych przyczyn (choroba, wypadek, samobójstwo) przedwcześnie odeszli z tego świata. To jest książka o nich.

Autor

PATRONI MEDIALNI:



Nr katalogowy: 15494

Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900

Bezdroża

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
• <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
• <http://bezdroza.pl/newsletter>

Hellon SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

Cena 39,90 zł

ISBN 978-83-246-8278-2



9 788324 682782